

Prezydent RP dla Polski Zbrojnej: Czas zdrowych proporcji

Sojusz po Afganistanie musi w większym stopniu niż przez ostatnie 10 lat konsolidować się wokół swej podstawowej funkcji - obrony kolektywnej. Poczucie bezpieczeństwa w domu jest bowiem wartością samą w sobie - mówi w rozmowie z miesięcznikiem „Polska Zbrojna” prezydent Bronisław Komorowski, zwierzchnik sił zbrojnych.

Panie Prezydencie, co zyska system obronny Polski dzięki wprowadzonej w tym roku nowej strukturze dowodzenia siłami zbrojnymi?

Przede wszystkim nastąpiło uproszczenie struktury. Istniejąca wcześniej była zbyt rozbudowana, zarówno w pionie, jak i poziomie. Poprzednie ekipy rządzące wolały dobudowywać nowe elementy systemu dowodzenia, tworzyć kolejne dowództwa najwyższego szczebla, niż je reformować. A w tym samym czasie, szczególnie po decyzji o ich profesjonalizacji, zmniejszyła się liczebność sił zbrojnych. Nadmierne rozbudowanie struktur dowódczych oznaczało spowolnienie procesu decyzyjnego. Wiadomo, że im system dowodzenia prostszy, tym jest skuteczniejszy.

A jakie inne pozytywne efekty reformy dostrzega Pan jako zwierzchnik sił zbrojnych?

Przy okazji reformy systemu dowodzenia zaczną też funkcjonować nowe rozwiązania, gwarantujące zdolność do szybkiego przejścia na wojenny system dowodzenia, czego do tej pory nie było. Będzie wiadomo, kto jest kandydatem na naczelnego dowódcę, kto ma się przygotować do dowodzenia w warunkach kryzysu i na czas „W”. Dotąd tego nie było, a armia funkcjonowała według zasady: wojenny system dowodzenia będziemy tworzyć, gdy nas ktoś zaatakuje. Wszyscy wiedzieli, że to byłoby zbyt późno.

Inną korzyścią z reformy jest logiczne rozdzielanie funkcji i zadań. Dotąd planowanie oraz dowodzenie wykonawcze i nadzorowanie były w rękach SGWP. A wiadomo, że gdy ktoś sam planuje i potem odpowiada za realizację tych planów, to sam siebie nie będzie dokładnie rozliczał z tego, co i jak zrobił. Dlatego, moim zdaniem, dla sił zbrojnych będzie korzystna równowaga między planowaniem i przygotowywaniem projektów decyzji ministra obrony a dowodzeniem przy wykonywaniu tych decyzji.

Reforma przyniesie też dowartościowanie „linii”, bo znacząca część etatów w dowództwach centralnych przejdzie do jednostek i związków taktycznych. Odchodzimy więc od złej praktyki rozbudowywania dowództw z jednoczesnym zmniejszaniem liczby żołnierzy w linii. Siedmiogłowy smok o słabych mięśniach nikogo nie przestraszy.

Zaangażował się Pan również w modernizację techniczną sił zbrojnych, wskazując jako priorytet



obronę powietrzną i przeciwrakietową. Jak w czasach kryzysu udało się przekonać szefa resortu finansów do specjalnej ustawy?

Ministerstwo Finansów obawia się, co jest zrozumiałe, sztywnych zobowiązań budżetowych. To, że zapadła wreszcie decyzja o modernizacji systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, to jest odłożony w czasie efekt przygotowanej przeze mnie, gdy byłem ministrem obrony, ustawy z 2001 roku o modernizacji technicznej sił zbrojnych. Jednym z kluczowych zapisów było zagwarantowanie wydatków na obronę na poziomie 1,95% produktu krajowego brutto, aby były pieniądze na wprowadzenie w życie ambitnych planów unowocześnienia armii i wypełnienie naszych zobowiązań w NATO. Część środków na wykonanie przyjętego wtedy planu sześcioletniego pochodziła z restrukturyzacji sił zbrojnych. Najważniejszy był jednak ów zapis o 1,95% PKB oraz dodatkowo 0,05% PKB na samolot wielozadaniowy. Dzięki temu rozwiązaniu udało się zrealizować między innymi takie programy modernizacji, jak kołowy transporter opancerzony Rosomak, pociski przeciwpancerne Spike i właśnie samolot wielozadaniowy F-16. Dzięki temu, że uniknęliśmy w Polsce recesji, budżet MON co roku jest większy. Z pewnością inni ministrowie zazdroszczą szefowi resortu obrony tego rozwiązania. Jest ono też źródłem niepokoju ministra finansów, który musi realizować tę ustawę. Kwestia ta wróciła przy okazji nowych ambitnych programów modernizacyjnych, ale ostatecznie i jednoznacznie została rozstrzygnięta na rzecz utrzymania 1,95% PKB.

Jakie jeszcze inne programy modernizacyjne uważa Pan za kluczowe?

Można wymienić zakup śmigłowców, z informatyzowanych systemów walki i wsparcia (np. bezpilotowców) czy modernizację marynarki wojennej. Polska może dziś sobie pozwolić na takie inwestycje, bo nadal notujemy wzrost gospodarczy. Ponadto musimy inwestować w nowoczesność armii, skoro zdecydowaliśmy się na profesjonalizację, a w jej efekcie na poważną redukcję stanu osobowego. Utrzymanie profesjonalisty sporo kosztuje, nie ma więc sensu finansowanie kosztownych, bo profesjonalnych, sił zbrojnych z przestarzałym uzbrojeniem i słabo wyszkolonymi żołnierzami.

Dlaczego za najważniejszą uznał Pan modernizację obrony powietrznej?

Skoro wydajemy duże pieniądze na nowe uzbrojenie i wyposażenie, to musimy je odpowiednio chronić przed skutkami ewentualnego pierwszego uderzenia przeciwników. Wiadomo, że takie uderzenie przyjdzie z przestrzeni powietrznej. Nowoczesne siły zbrojne bez osłony przed atakiem z powietrza są kolejnym kosztownym nonsensem. Tę lukę w polskim systemie obrony trzeba jak najszybciej uzupełnić, bo jeżeli tego nie zrobimy, to inne nowoczesne systemy uzbrojenia zostaną wyeliminowane już na początku ewentualnego konfliktu.

Jako jedno z priorytetowych zadań sił zbrojnych wskazał Pan obronę własnego terytorium. W pewnym momencie zesłała ona na dalszy plan w związku z dużym zaangażowaniem Polski w działania ekspedycyjne w Afganistanie i Iraku.

Ogłoszenie w Polsce polityki ekspedycyjnej, do której dołożono także ekspedycyjny kierunek rozwoju polskich sił zbrojnych, było błędem, wynikającym z niezrozumienia naszego miejsca w świecie. Zachowywaliśmy się tak, jak byśmy byli mocarstwem postkolonialnym. Silenie się na mocarstwowość dużo nas kosztowało. W kategoriach zwykłego rachunku kosztów, na przykład misji w Afganistanie, to niebagatelna kwota 5 mld zł. Za te pieniądze można by zrealizować parę projektów modernizacyjnych. Oczywiście były też pewne zyski płynące z udziału w tych operacjach, choćby w sferze szkoleniowej. Nie należy jednak nadużywać takiego argumentu, bo wielu żołnierzy było na misji wielokrotnie, a inni wcale.

Polska, jako członek NATO i Unii Europejskiej, nie będzie mogła jednak całkowicie zrezygnować z

wysyłania żołnierzy w różne miejsca zapalne na świecie, o czym świadczy przykład Republiki Środkowoafrykańskiej.

Oczywiście uczestniczymy i nadal będziemy uczestniczyli w różnego rodzaju misjach zewnętrznych. Przykładem jest choćby nasza obecność w Afryce Środkowej. Chodzi jednak o zdrowe proporcje między przyjmowaniem zobowiązań zewnętrznych a przygotowaniem do obrony własnego terytorium i terytoriów innych krajów sojuszu.

Czy odejście od ekspedycyjności wpłynie w jakiś sposób na nasze siły zbrojne?

Tak. Rozwój sił zbrojnych powinien być planowany przede wszystkim pod kątem obrony własnego terytorium i terytorium naszych sojuszników w NATO. Ograniczone misje poza obszarem NATO powinny być brane pod uwagę, ale nie mogą być priorytetem. Pomimo rosnącego budżetu MON-u, nasze środki finansowe na armię są mimo wszystko ograniczone i nie wystarczą na to, byśmy jednocześnie dobrze przygotowali się do obrony własnego terytorium i kształtowali liczącą się część sił zbrojnych do misji na antypodach świata. Społeczeństwo powinno mieć pewność, że łoży na armię, która w razie czego będzie skutecznym narzędziem obrony naszego kraju.

Możemy też przecież liczyć na sojusznicze wsparcie.

Oczywiście. Jednym z największych osiągnięć rządu premiera Jerzego Buzka, którego miałem honor być członkiem, było uzyskanie w 2001 roku planu ewentualnościowego NATO dla Polski. Dzięki temu wiemy, jakie siły, w jaki sposób, z jakimi zadaniami i z jakim wyposażeniem przybędą do naszego kraju w obliczu wojny. W tym planie są też precyzyjnie określone zadania dla naszych sił zbrojnych. Warto więc pamiętać, że jeżeli sami nie będziemy gotowi do realizacji polskiej części planu ewentualnościowego, nie będziemy mieli moralnego prawa oczekiwać, że inni będą swoje zobowiązania traktować poważniej od nas.

W ostatnich latach skupiliśmy się na misjach w ramach NATO i Unii Europejskiej. Dlaczego wycofaliśmy się z operacji pokojowych Narodów Zjednoczonych?

Pytanie jest w pełni uzasadnione. Uważam, że warto ponownie rozważyć ewentualny udział Polski w misjach oenzetowskich. Jednym z walorów misji Narodów Zjednoczonych jest bowiem to, że nie stanowią one obciążenia dla budżetu MON-u. Poza tym jednak, niezależnie od tego, pod czyimi auspicjami jest prowadzona operacja wojskowa, zawsze jako kraj powinniśmy określić, jakie cele narodowe chcemy osiągnąć, gdy wysyłamy żołnierzy w określone miejsce konfliktu.

Czy po ostatnim szczycie UE można oczekiwać, że da się tchnąć ożywczego ducha we wspólną europejską politykę bezpieczeństwa i obrony?

Sądzę, że możliwości są ograniczone, co widać po tym, jak ślimaczy się proces pogłębienia integracji w tej dziedzinie. Trudno zresztą wyobrazić sobie postęp we wspólnotowej polityce bezpieczeństwa i obrony bez postępu we wspólnotowej polityce zagranicznej i bez dobrego zdefiniowania wspólnych fundamentów strategicznych. Potrzebna jest nowelizacja, mającej już ponad 10 lat, europejskiej strategii bezpieczeństwa. Nie chodzi bowiem tylko o to, by mieć wspólne zdolności obronne, ale by razem, zgodnie z zawczasu uzgodnionymi interesami, decydować o ich użyciu. Jak dotąd, Europa nie zdołała przełamać partykularyzmu poszczególnych państw. Stąd, choć wydaje bardzo duże pieniądze na obronność, efekt w postaci realnych europejskich zdolności bojowych jest ograniczony. I nie pomoże tu wynajmowanie kolejnych hoteli na sztaby dla przyszłej wspólnej armii, która przecież nie powstanie, dopóki nie będzie głębszej wspólnoty politycznej.

Czy panuje całkowity marazm w tej dziedzinie?

Nie. Ostatni szczyt wyznaczył kierunek, który stwarza pewne istotne możliwości. Daje szansę na racjonalny przegląd strategiczny wyzwań i potrzeb stojących przed UE w ramach przygotowywania nakazanego raportu na kolejny szczyt, w 2015 roku. Do ważnych zadań należy budowa nowoczesnych zdolności europejskich w dziedzinie obronności oraz przyspieszenie integracji europejskiego przemysłu obronnego. Te procesy już zachodzą. Problemem jest jednak to, że Polska w znacznej mierze jest poza nimi. Jeśli te zmiany będą przebiegały bez polskiego udziału, nasza zbrojeniówka może znaleźć się w poważnych kłopotach, ponieważ konkurencja w tej dziedzinie jest coraz większa. Być może wielkie kontrakty, które będą efektem przyjętych programów modernizacji technicznej sił zbrojnych, zwiększą tak pożądaną innowacyjność polskiego przemysłu i pozwolą włączyć nasze firmy zbrojeniowe w procesy integracyjne. Zbrojeniówka jest, według mnie, tą sferą, w której integracja europejska będzie się w sposób istotny pogłębiać.

Czy wspólna polityka bezpieczeństwa i obrony ma być alternatywą dla NATO, jak twierdzą niektórzy, czy też ten pomysł należy odłożyć do lamusa?

Pomysł, aby wspólna polityka bezpieczeństwa i obrony miała być alternatywą dla NATO, odłożono do lamusa wraz z powrotem Francji do struktur wojskowych sojuszu. To echa dawnych dyskusji, w których pojawiała się pokusa, aby zastąpić ścisłe związki Europy ze Stanami Zjednoczonymi integracją europejską. Dziś Europa musi raczej myśleć o tym, jak zrekompensować powolne wycofywanie się Amerykanów ze Starego Kontynentu. Siłą rzeczy zwiększa to szanse pogłębienia jeszcze integracji w ramach Unii. I na szczęście zmiany w relacjach między UE a USA idą w dobrą stronę. Budowa wspólnej przestrzeni gospodarczej europejsko-amerykańskiej to trudna, ale niesłychanie ambitna i potrzebna perspektywa. Polska zawsze dążyła do pogłębionej integracji europejskiej w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony, ale nie po to, by zniechęcać Waszyngton do aktywności na gruncie europejskim czy natowskim, lecz aby wspólnie z USA lepiej rozwiązywać problemy bezpieczeństwa nie tylko Starego Kontynentu, lecz także całego świata.

W tym roku mija [15-lecie polskiej obecności w NATO](#). Pomimo tylu lat czasami można odnieść jednak wrażenie, że wciąż są nowi i starzy członkowie paktu.

Sądzę, że podział na starych i nowych już się zaciera. Zresztą są już młodszy od nas. Ponadto przez 15 lat wyrosło niemal całe nowe pokolenie polskich dowódców, z których większość służyła w strukturach natowskich. Proces zrastania się sojuszu północnoatlantyckiego bardzo przyspieszył także w wyniku przemian zachodzących wewnątrz naszej armii. Myślę na przykład o systematycznie realizowanych programach modernizacji technicznej i pojawieniu się na coraz większą skalę uzbrojenia proweniencji zachodniej, o przejściu na armię zawodową czy wreszcie o unowocześnianiu systemu dowodzenia. Uważam, że nie jesteśmy już traktowani jak nowy, niepewny, ubogi krewny, ale jak pełnowartościowy partner. Wydorosłeliśmy w NATO i możemy już śmiało, na równych prawach, uczestniczyć w kształtowaniu sojuszu i coraz lepiej pilnować naszych narodowych interesów.

Czy spełniły się nasze nadzieje polityczne związane z wstąpieniem do sojuszu?

Tak. Osiągnęliśmy poczucie bezpieczeństwa na miarę niespotykaną w naszej historii. Nigdy nie jest ono stuprocentowo pełne, ale trudno sobie wyobrazić lepszą gwarancję bezpieczeństwa Polski niż jednoczesne członkostwo w Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego i Unii Europejskiej. Oczywiście to poczucie bezpieczeństwa trzeba wzmacniać, modernizując polską armię i czyniąc z niej sprawne narzędzie na rzecz obrony naszego terytorium i terytoriów innych członków sojuszu. Z racji geostrategicznego położenia Polski właśnie zdolności obronne przed agresją na terytoria sojusznicze powinny być naszą specjalnością strategiczną w NATO. One przede wszystkim, a nie zdolności ekspedycyjne, powinny być wnoszone do wspólnej puli obronnej.

Badania opinii publicznej wskazują, że spada zainteresowanie Polaków sferą obronności. W czym

upatruje Pan przyczyny tego zjawiska?

To w pewnej mierze efekt wzrostu poczucia bezpieczeństwa Polaków. Może to jednak oznaczać w przyszłości trudność z utrzymaniem tak wysokiego poziomu zaangażowania środków budżetu państwa w rozwiązywanie problemów obronnych. Członkostwo w sojuszu zmienia nasze siły zbrojne nie tylko mentalnie, co uważam za pozytywne. Wydajemy także pieniądze na infrastrukturę obronną – na lotniska czy bazy. NATO jest sojuszem o charakterze obronnym i to, że udaje się nam utrzymać akcent położony na obronę polskiego terytorium, oznacza, że daleko odeszliśmy od specyfiki armii z poprzedniego, słusznie minionego okresu.

Pamiętam swoje zdumienie, gdy jako wiceminister obrony narodowej odwiedziłem w Hamburgu niemiecką brygadę pancerną. Okazało się, że polscy oficerowie z ataszatu świetnie znali specyfikę dna Renu i – ku zdumieniu Niemców – wiedzieli, jak wyglądają kanały czy wały przeciwpowodziowe. Problem jednak polegał na tym, że nie wiedzieli, jak wygląda dno Wisły czy Bugu. Dzisiaj już wiedzą, bo armia jest nastawiona na obronę własnego terytorium.

Co jeszcze zyskaliśmy dzięki członkostwu w NATO?

Gigantyczny postęp techniki wojskowej i dostęp do wielkich możliwości całego sojuszu. Kontakt z nowoczesną techniką sprawia, że i ludzie z niej korzystający stają się bardziej nowocześni. To też oddziałuje na polską gospodarkę. Zaadaptowanie elementów technologicznych nie tylko na potrzeby polskiego wojska, lecz także gospodarki otwiera całkowicie nowe perspektywy.

Czy zmienił się nasz wizerunek?

Dziś jesteśmy postrzegani jako wiarygodny partner. Na ten wizerunek zapracowali m.in. żołnierze biorący udział w zagranicznych misjach, głównie w Iraku i Afganistanie, ale także polskie państwo, które zadeklarowało gotowość do znaczącego finansowania systemu obronnego i daleko idącą determinację w jego modernizacji – pod każdym względem, łącznie z systemem dowodzenia.

Inne kraje są mniej skłonne do utrzymywania wysokich nakładów na obronność. Pod tym względem Polska mieści się w natowskiej czołówce, co wynika także z naszego położenia – na krawędzi systemu natowskiego.

NATO ma 65 lat. Jak Pan ocenia kondycję tego „szacownego emeryta”. Winston Churchill po II wojnie światowej napisał: „sojusze są naturalną reakcją na wspólne zagrożenie”. Czy zatem wyeliminowanie zagrożenia oznacza rychły koniec sojuszu?

Do pewnego stopnia historia potwierdziła słowa Churchilla, ale pokazała też, że niełatwo jest budować sojusz w obliczu już istniejącego, realnego zagrożenia stojącego u bram kraju. Brytyjczycy przerabiali to na początku II wojny światowej i byli tylko o krok od katastrofy. Skorygowałbym zatem zdanie Churchilla o tyle, że warto zawierać sojusze wcześniej, zanim nadejdzie moment grozy. Takim rozwiązaniem jest NATO. Nikt na świecie nie rozwiązuje sojuszu i nie rezygnuje z wysiłku obronnego. Dlatego dziś wszyscy je utrzymują, wyprzedzając powstawanie ewentualnych konfliktów.

Czy misja w Afganistanie zmieniła NATO? Niektórzy twierdzą, że ta interwencja osłabiła sojusz.

Krytycznie oceniam nasze jednoczesne zaangażowanie w dwie wojny: w Iraku i Afganistanie. Mam wątpliwości co do efektów osiągniętych przez misję afgańską. Byłem i jestem gorącym zwolennikiem szukania rozwiązań polityczno-ekonomicznych. Dzisiaj widać, że dziesięcioletnie zaangażowanie w Afganistanie przyniosło ograniczone efekty i mamy problem, jak mądrze zakończyć misję, aby nie zostawić zdestabilizowanego kraju.

A co zyskała Polska? Żołnierze mówią, że zdobyli nowe doświadczenia.

To prawda, ale to żaden argument na rzecz tak poważnego udziału w wojnach. To przejaw bardzo wąskiego, wojskowego myślenia. Zresztą należy zachować dużą ostrożność w używaniu argumentu, że wojny są po to, aby wojsko się szkoliło. Oczywiście nie można pomijać tego aspektu, ale prawdę powiedziawszy pod tym względem ważniejsza była misja w Iraku niż w Afganistanie.

Pamiętam zdumienie, gdy w czasie jednej z moich wizyt w Afganistanie usłyszałem od dowódcy operacyjnego NATO, że przygotowujemy się do wiosennej operacji, aby odzyskać kontrolę nad głównymi ośrodkami administracyjnymi i szlakami komunikacyjnymi. Po całych latach zaangażowania? Jako syn polskiego partyzanta wiem, że gdy dowódcy wojskowi zaczynają planować utrzymanie centrów administracyjnych i szlaków komunikacyjnych, to po prostu jest źle.

We wrześniu 2014 roku czeka nas szczyt NATO. Z jakimi propozycjami pojedzie na niego Polska?

Na szczycie odbędzie się dyskusja o Afganistanie i o NATO „poafgańskim”, o nowych celach sojuszu. Otwarte jest jednak pytanie, jakie wnioski wyciągniemy z tej operacji. W ubiegłym roku poprosiłem sekretarza generalnego NATO o przygotowanie dobrego raportu na temat afgańskiego zaangażowania. Ale można było wyczuć ogromną niechęć do jakiegokolwiek podsumowania efektów operacji, zarówno od strony politycznej, jak i wojskowej. Nadal jednak uważam, że bez realistycznej oceny, nie tylko przebiegu afgańskiej operacji, ale także jej efektów, trudno dyskutować o przyszłości NATO. Jedno wydaje się oczywiste: sojusz po Afganistanie musi w większym stopniu niż przez ostatnie 10 lat konsolidować się wokół swej podstawowej funkcji – obrony kolektywnej. Poczucie bezpieczeństwa w domu jest bowiem wartością samą w sobie. Jest też dodatkowo podstawowym warunkiem skutecznego angażowania się na zewnątrz, jeśli ponownie pojawi się taka potrzeba.

Pierwszy sekretarz generalny NATO lord Ismay stwierdził, że sojusz jest potrzebny, aby „utrzymać Amerykanów w Europie, Rosję na zewnątrz, a Niemców przy podłodze”. Tymczasem dziś w amerykańskiej polityce dostrzegamy zwrot w kierunku Azji i Pacyfiku. Czy Europejczycy nie powinni zatem sami wzmocnić własnych potencjałów militarnych? Niektórzy twierdzą, że wycofywanie się Amerykanów z Europy jest wynikiem niechęci do ponoszenia większych kosztów wspólnego bezpieczeństwa.

Pytanie o obecność USA nie dotyczy dzisiaj tylko Europy. Jest przedmiotem rozważań także państw w innych rejonach świata. No jeśli Amerykanie staną się eksporterem gazu, to prawdopodobnie zmniejszy się ich zaangażowanie na terenie Bliskiego Wschodu i Zatoki Perskiej. Spójrzmy więc, na pociechę, na sytuację państw arabskich, mających tak potężnego sąsiada, jak Iran. Jaka może być ich odpowiedź na zmieniającą się sytuację? Muszą postawić na jakąś formę integracji w regionie. Bo jej pogłębienie w aspekcie bezpieczeństwa i obrony to dobra odpowiedź na zmianę akcentów w amerykańskiej polityce pod różnymi szerokościami geograficznymi – także w Europie. Nie sądzę jednak, aby kiedykolwiek Stany Zjednoczone zdecydowały się na całkowite wyjście z Europy. Dziś Amerykanie mówią nam, abyśmy zwiększyli nasz wysiłek na rzecz obronności i pogłębili integrację w dziedzinie bezpieczeństwa i obrony. To ważny sygnał, że USA nie chcą porzucić Europy, choć mają w innych regionach świata priorytetowe zadania i wyzwania. Musimy to brać pod uwagę. Polska pod tym względem może być dobrym przykładem i zwalczać europejskie pokusy jazdy na gapę. Jednocześnie stawiamy na utrzymanie charakteru obronnego NATO i na bliskie związki z USA jako najpotężniejszym krajem sojuszu, a także na pogłębienie integracji europejskiej.

Trzeba uważać z receptami sprzed wielu lat. Świat się zmienił i sojusz również. Dziś nikt nie zamierza „trzymać Niemców przy podłodze” ani odpychać Rosji od Europy. Wręcz przeciwnie – należy ją przyciągać, proponując, aby na miarę swego znaczenia pozytywnie uczestniczyła w rozwiązywaniu problemów nie tylko kontynentu europejskiego, lecz także świata. Rolą NATO nie jest trzymanie kogokolwiek na podłodze, ale działanie w taki

sposób, aby sąsiad nie musiał się bać sąsiada. Podobnie myśli i działa UE, która sąsiadom nie życzy źle, lecz stara się z nimi zbliżyć i współpracować.

Małgorzata Schwarzgruber, Wojciech Kiss-Orski, Tadeusz Wróbel

[Tweetnij](#)